

Zamiast wstępu

Książka ta nieprzypadkowo nawiązuje tytułem do słynnego spaghetti westernu Sergia Leone *Pewnego razu na Dzikim Zachodzie*, a jej lejtmotywywem jest inne arcydzieło Leone – „dolarowa trylogia”. Zawarte w niej teksty opowiadają o pogoni za marzeniem, która dla niektórych kończyła się odkryciem skarbu na cmentarzu, a jeszcze częściej – samym cmentarzem.

W tym wyścigu sporo było Polaków. niesprawiedliwe więc jest to, iż tak niewielu naszych rodaków stawało się bohaterami westernów. Wyjątkiem jest na przykład płatny zabójca Sergiej Kowalski (Franco Nero) z filmu Sergia Corbucciego *Il mercenario (Zawodowiec)*. Rewolwerowiec został wynajęty przez meksykańskiego rebelianta Paca Romana (Tony Musante), by zlikwidował brutalnego generała Alfonsa Garcię (Eduardo Fajardo) i pomógł w walce rewolucyjnym oddziałom. Kowalski chętnie się zgodził, ale za wykonanie każdego kolejnego zadania żądał coraz większego honorarium. Polski najemnik sam był kiedyś powstańcem pełnym szczytnych ideałów, ale po latach tułaczki i uczestnictwa w różnych wojnach w Meksyku chodziło mu już tylko o pieniądze. Ostatecznie jednak w finale filmu przebudził się w nim stary bojownik o wolność i wyciągnął z opresji rewolucjonistę Paco. Bywało, że w Meksyku czy na pograniczu meksykańsko-amerykańskim walczyły całe oddziały składające się z takich „Kowalskich”...

Książka dzieli się na trzy części: historyczną, filmową i suplement polski. W historii o Dzikim Zachodzie fakty splotły się nierozzerwalnie z mitami, a w Polsce... splotły się jeszcze mocniej.

Western jako gatunek filmowy wybiegł daleko poza granice Stanów Zjednoczonych. Swoje westerny mają kraje Ameryki Południowej (na przykład brazylijskie nordesterny) i Australia. Westerny kręcono również w Europie, a całkiem niedawno nurt ten pojawił się i w filmografiach azjatyckich. Większość filmów tego gatunku rozgrywa się w połowie XIX wieku, lub na przełomie XIX i XX wieku. Niektóre z nich wybiegają jednak we wcześniejsze epoki, albo odwrotnie – sięgają nawet lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dowodzi to, jak pojemny jest to gatunek, w którym można przedstawić historie z różnych epok i szerokości geograficznych.

Również w tej książce historie westernowe wybiegają daleko poza granice Ameryki Północnej i sięgają czasów, kiedy na kontynencie amerykańskim pojawili się pierwsi konkwistadorzy. Bez nich opowieść o zdobywaniu Dzikiego Zachodu nie byłaby pełna.

* * *

Kilka tekstów, które złożyły się na tę książkę, jest rozwinięciem artykułów, które publikowałem w „Focus Historia”, „Mówią Wieki”, „Historia bez Cenzury”, „Newsweek Historia” i w portalach Historykon, Korporacja Ha!art oraz eleWator. W tym miejscu chciałem bardzo podziękować wymienionym Redakcjom za pozwolenie skorzystania z nich w tej książce.

I

POGRANICZE W OGNIU – HISTORIE PRAWDZIWE



Ziemia Obiecana zawsze najwięcej skrywa kości

Szczepy Tupi-Guarani zamieszkujące dzisiejsze obszary Brazylii, Paragwaju i Boliwii od wieków kultywowały mit o Ziemi Obiecanej, którą wyobrażały sobie jako krainę pozbawioną zła. W jej poszukiwaniu całymi latami tubylcy przemierzali ogromne przestrzenie Ameryki Południowej. Migracje te nasiliły się w XV, XVI i XVII wieku wśród wielu plemion określanych wspólnym mianem Tupinamba. Indianie masowo porzucali dotychczasowe siedziby i pod przewodem swoich wodzów i szamanów wędrowali w poszukiwaniu rajów.

W tę pogoń za „ziemią bez zła” włączyli się też biali zdobywcy Nowego Świata. Hiszpańscy i portugalscy konkwistadorzy utożsamiali indiański mit z własnymi rojeniami o legendarnej krainie pełnej złota – El Dorado, i przyłączali się do pielgrzymów. Dzięki temu doszło do „mistycznego *qui pro quo*”. Żądni skarbów konkwistadorzy przedzierali się przez dżunglę z ludźmi, którzy wyobrażali sobie, że w krainie indiańskiego szczęścia będą wiecznie młodzi i nieśmiertelni, nie będą musieli pracować, bo motyki same będą uprawiać pola, z których zbiory w cudowny sposób napełniać będą spichrze, a łuki będą same polować na zwierzynę w lesie. Zdarzało się, że konkwistadorzy czy misjonarze stawiali na czele indiańskich pielgrzymów przekonanych, że pragnienia białych są zbieżne z ich marzeniami. I tak na przykład jeden z najokrutniejszych konkwistadorów – Lope de Aguirre zwany „Loco”

(„Szalony”), który w gorączce złota nie wahał się zdradzić swoich towarzyszy, wypowiedzieć posłuszeństwa królowi, a nawet zamordować jedynej córki, pociągnął za sobą indiańskich pielgrzymów w otchłań. Wyginęli jeden po drugim w dżungli, która okazała się pełna „gniewu bożego, a nie oczekiwanych magicznych cudów”. Czasami niczego nieświadomi pielgrzymi stawali się... pożywieniem dla indiańskich sprzymierzeńców konkwistadorów, którzy ciągnęli za sobą tubylcze armie na swoje niszczycielskie wyprawy. Nie mając czym wyżywić piętnastu–dwudziestu tysięcy sojuszników, oddawali im na pożarcie jeńców i nieszczęsnych wędrowców, którzy nie doprowadzili ich do krainy pełnej złota. Poddani arcykatolickiego króla organizowali w swoich wojskowych obozach ludzkie rzeźnie!

Ostatecznie El Dorado nie odkryto, złota nie starczyło dla wszystkich zdobywców, a Indianie jako niewolnicy ginęli masowo na plantacjach i w kopalniach srebra. Czy mogło być pociechą dla nich to, że umierali ochrzczeni, w imię Zbawiciela, który odkupił na krzyżu jednocześnie ich grzechy i grzechy ich oprawców?

Liczne powstania i bunty, które wybuchały pod hiszpańskim i portugalskim jarzmem, dowodzą, że Indianie nie zamierzali wyzbyć się marzeń o wolności i niezależności. Paradoksalnie, wiara chrześcijańska, która im została narzucona przemocą, w połączeniu z dawnymi wierzeniami stała się zarzewiem wciąż nowych zbrojnych buntów i powstań. Z zadziwiającą regularnością ten „synkretyzm Boga miłości z dawnymi duchami” rodził kolejnych mesjaszów i wodzów mobilizujących Indian do walki. Do najsłynniejszych zrywów zbrojnych przeciw niesprawiedliwej władzy należy niewątpliwie powstanie Tupaca Amaru II, czyli José Gabriela Condorcanquiego, w Peru (1780–1781). Mimo klęski i męczeńskiej śmierci wodza znaleźli się tacy, którzy wierzyli, że Tupac Amaru II zmartwychwstał i za szczytami Andów, w leśnej krainie zwanej Gran Paititi, oczekuje na ostateczny triumf Indian. Z tego powodu w 1783 roku wybuchła kolejna insurekcja Indian Keczua, której przywódca Felipe Velazco ogłosił się emisariuszem zmartwychwstałego bohatera.

Z buntami Indian biali zdobywcy musieli się zmagać od samego początku swojego panowania w Nowym Świecie. Na przykład już w 1578 roku szamani Indian Quijo, zamieszkujących wschodnie zbocza Andów dzisiejszego Ekwadoru, ogłosili, że Bóg chrześcijan nie jest zadowolony z postępowania Hiszpanów na ziemi Quijo. Żeby więc ich ukarać, polecił on Indianom wzniecić powstanie i wymordować wszystkich białych, ponadto spalić ich domy oraz zniszczyć założone przez nich plantacje, na których zmuszano Indian do niewolniczej pracy. Oczywiście szybko się okazało, że prorocstwo jest mylne. Znacznie dłużej trwała wojna partyzancka pod wodzą Juana Santosa, bo aż dwanaście lat (1742–1754). Ten Mehtys z Wyżu Andyjskiego stanął na czele konfederacji Indian z grup Campa i Amuesha zamieszkujących peruwiańską Montanię. Jego zwolennicy widzieli w nim nie tylko wodza i potomka z dynastii Inków, lecz także utożsamiali go z istotą boską – na wzór chrześcijańskiego Chrystusa, który powrócił na ziemię, by restytuować państwo Inków.

Jednak w rzeczywistości żadne nadprzyrodzone moce nie mogły równać się z muszkietami i armatami Hiszpanów i Portugalczyków. Na przyjęcie sposobu walki od białych zdecydowali się Araukanie, czyli Indianie Mapucze zamieszkujący obecne tereny Chile. Wykorzystując militarne doświadczenia oraz konie i broń hiszpańskich konkwistadorów, z powodzeniem i zaciekłością bronili swoich ojczystych ziem od XVI aż do XIX stulecia! Mapucze, którzy dzięki przemyślanej taktyce zdołali przetrwać i po wygaśnięciu walk zostali objęci protekcjonistyczną (choć nadal dyskryminacyjną) polityką republikańskich rządów Chile, byli jednak tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Część Indian, widząc bezowocność walki zbrojnej, zaszła się w niedostępnych zakątkach kontynentu, byle jak najdalej od białych i żyją po dziś dzień w „pierwotnych enklawach”, jak amazońska dżungla. Inni jeszcze mocniej związali swoje nadzieje na odmianę losu z metafizyką. Wzmiankowany tu synkretyzm religijny posłużył im do tworzenia kolejnych prorocत्व o Armagedonie czy wręcz przeciwnie – do głoszenia millenaryzmu, czyli wiary

w rychle ziemskie zbawienie od zła, które zmieni doczesne życie w raj. Te wierzenia przetrwały wśród Indian wieki, mimo że ogłaszanie zarówno końca świata, jak i nastania na ziemi wiecznej szczęśliwości ani razu się nie ziszcilo. Nie wyrugowały ich nawet „modernizacje” społeczno-ekonomiczne XIX i XX wieku.

Mimo rozwoju w XX-wiecznej Ameryce Południowej olbrzymich metropolii, wytyczenia sieci asfaltowych dróg, linii kolejowych oraz regularnych kursów lotniczych wśród rdzennych mieszkańców Ameryki nie zginęła tradycja brazylijskich Indian Tupi-Guarani pielgrzymujących w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. Ostatnia „wielka pielgrzymka”, a raczej migracja całego ludu, odbyła się w 1962 roku. Wtedy to Indianie Mojoz Boliwii opuścili swoje wioski, udając się na poszukiwanie Ziemi Obiecanej, którą nazywali Świętym Wzgórzem. Wierzyli, że kraina ta zapewni im dostatnie życie bez obcych ludzi (czyli białych). Pielgrzymujących Mojo nie mogły zatrzymać żadne przeszkody – ani choroby i śmierć pielgrzymów, ani prześladowania ze strony wrogiej białej ludności spotykanej na szlaku wędrówki. Pielgrzymi bezgranicznie ufali swoim szamanom, którzy prowadzili ich donikąd. Był to w istocie akt rozpaczliwej dyskryminowanej społeczności w Boliwii.

Gdy poszukiwania Ziemi Obiecanej okazały się nieefektywne, na pierwszy plan wysunęła się idea odwróconego porządku społecznego. Mówiąc najprościej – Indianie mieli zająć uprzywilejowaną pozycję białych, a biali zmienić się w chłopów czy nawet niewolników. Inną odmianą tego mitu była tak zwana odwrócona segregacja lub idea „białej skóry”. Za sprawą cudownej przemiany Indianie mieli stać się białymi ludźmi ze wszystkimi ich przywilejami, ci zaś zepchnięci do pozycji dyskryminowanych kolorowych tubylców. W 1960 roku w departamencie Chocó w Kolumbii pojawił się prorok zwany „El Hermantio” („Braciszek”), który wędrując od osady do osady, wieszczyl bliski koniec świata dla wszystkich bogatych, czyli prawie wyłącznie białych – sprawców nieszczęść murzyńskiej i indiańskiej ludności Chocó. Kataklizm miał objąć nie tylko przedstawicieli władz administracyjnych,

misjonarzy i kupców, lecz także wszystkich mieszkańców wielkich miast. Wyznawcy El Hermantio, by przetrwać koniec świata i osiągnąć szczęśliwość, musieli stać się jeszcze bardziej biedni niż dotychczas. Indianie wrzucali więc do rzeki swoje najcenniejsze srebrne ozdoby i amulety, a także niewielkie oszczędności pieniężne. Ponadto zabijali zwierzęta domowe lub oddawali je za darmo obcym. W niedługim czasie nad departamentem Chocó zawisło widmo głodu...

W 1946 roku szaman imieniem Ciriaco głosił wśród Indian Tukuna nadejście nowej ery szczęśliwości, w której zamieszkają w „cudownym mieście”. Żeby przyspieszyć ten upragniony moment, tubylcy wykarczowali w dżungli długą aleję, mającą być w przyszłości centrum nowej indiańskiej metropolii. Na jej poboczach wbili nawet wysokie słupy, mające imitować latarnie uliczne. Wierzyli, iż za sprawą magii pewnego dnia rozbłyśnie na nich światło elektryczne. Szczęśliwi Indianie mieli mieszkać w tej „Nowej Jerozolimie” razem ze swoimi dobroczyńcami – mitycznymi istotami, które będą dostarczać im wszelkich dobrodziejstw współczesnej cywilizacji przemysłowej. Podobne mity zaczęły szerzyć się dwadzieścia lat później wśród brazylijskich Indian Canela. Biali mieli zostać wygnani ze swoich siedzib i zmuszeni do życia w głębi dżungli. Jednocześnie Indianie zajmą ich miejsce, przejmując cały majątek białych: samochody, łodzie, samoloty, a nawet miasta.

Te proroctwa brzmiałyby nawet zabawnie, gdyby ich podłożem nie były wieki wyzysku i beznadziejnej egzystencji na obrzeżach cywilizacji. Czasami też miały one tragiczny finał. W 1846 roku prorok Awakaipu działający na południu Gujany Brytyjskiej rozkazał swoim wyznawcom, by zebrali się u stóp świętej góry Roraima. Mieli tam zostać przemienieni w białych ludzi. Jednak warunkiem tej cudownej metamorfozy miało być uprzednie zbiorowe samounicestwienie wiernych po to, by ich martwe ciała mogły odrodzić się w nowej postaci. W rezultacie wymordowało się między sobą około czterystu Indian, przekonanych, że dzięki temu zdobędą wymarzony status białych kolonizatorów. Co ciekawe, ta hekatomba przypomina masowe samobójstwo z 18 listopada 1978 roku

północnoamerykańskiej sekty Świątynia Ludu przewodzonej przez „wielebnego” Jamesa Jonesa. *Nomen omen* doszło do niej także w Gujanie – w ośrodku sekty w Jonewston.

Wśród rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej w pierwszej połowie XX wieku popularny stał się też pogląd, że twórcami wszystkich dóbr przemysłowych są indiańscy bogowie, a biali jedynie uzurpują sobie do nich prawo. To jedna z odmian tak zwanego kultu cargo, czyli kultu ładunków przewożonych w lukach samolotów. Mit ten najjaskrawiej objawił się na obszarach Melanezji i Nowej Gwinei pod koniec II wojny światowej. Tamtejsi tubylcy, obserwując coraz liczniejsze eskadry amerykańskich samolotów bombowych przelatujących na akcje przeciwko Japonii i zrzuty zaopatrzenia dla partyzantów z samolotów transportowych, doszli do wniosku, że to bogowie przylatują do nich z darami. Na kontynencie południowoamerykańskim kult cargo wywołał wielki ferment między innymi wśród Indian Tukuna i Indian Campa w Peru. Tukuna w latach czterdziestych ubiegłego wieku łączyli przepowiednie o katastrofie mającej zniszczyć białych z przybyciem mitycznego statku wypełnionego po brzegi skarbami dla Indian. Z kolei wśród ludu Campa powstało znaczne poruszenie, gdy pod wpływem propagandy adwentystycznych misjonarzy zrodziła się przepowiednia o rychłym przybyciu z Iquitos wielkiego okrętu pełnego maczet, siekier i broni palnej przeznaczonych tylko i wyłącznie dla Indian. Skończyło się to wysłaniem przez władze wojsk do regionu zagrożonego rebelią.

Mesjanistyczne utopie i mity, naznaczone piętnem wyzysku indiańskich niewolników i chłopów, a także obecną powolną zagładą Indian w dżungli, są typowym wytworem ludzi żyjących w rzeczywistości nie do zniesienia. Można w nich odnaleźć wspólne elementy dla wierzeń i legend wszystkich uciśnionych – afrykańskich niewolników, Indian północnoamerykańskich, Romów z Bałkanów, czy... pańszczyźnianych chłopów w Polsce. Tu można byłoby przytoczyć wszystkie legendy o cudownej odmianie chłopskiego losu, na przykład o odnalezieniu kwiatu paproci zmieniającego biedaka w wielkiego pana lub podpisaniu diabelskiego cyrografu

oddającego duszę w zamian za dostatnie życie... *À propos* diabła – hiszpańska inkwizycja ramię w ramię z konkwistadorami zwalczała indiańskie wierzenia i mity, widząc w nich nie tylko przejawy pogaństwa, lecz także zagrożenie dla swojej ziemskiej władzy. Najczęściej efekty były odwrotne od zamierzonych, jak w tej anegdocie o pewnym kacyku z Kuby, skazanym na spalenie żywcem za bunt przeciwko Hiszpanom zaraz po zdobyciu przez nich tej wyspy, namawiany przez franciszkanina jeszcze w ostatniej chwili, kiedy ogarniały go już płomienie, by wyrzekł się pogaństwa, zapytał zakonnika: „A czy Hiszpanie idą do nieba?”. „Tak” – odpowiedział franciszkanin. „W takim razie wolę iść do piekła!” – zawołał umierający...

Wreszcie pojawili się w Nowym Świecie i tacy ludzie, jak „apostoł Indian” Bartolomé de Las Casas, były plantator i właściciel niewolników, który w Indianach zobaczył współbraci, założył habit zakonny i zaczął ich bronić przed wyzyskiem i eksterminacją. Ale to już historia z kolejnego rozdziału.